Cena pojedyńczego Nr. 40 gr.

Rok V. Radom, Luty—Marzec 1929 r. Nr. 4.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA“ GIMN. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Jak ja to widzę...

Lata płyną.

Wśród radosnego trudu poznawania świata oczy nasze, olśnione wizją przyszłego życia, spostrzegają czasem z pewnem zdziwieniem, że nasi rodzice i wychowawcy stają się coraz niżsi, że chylą się ich plecy i siwizna osrebrza ich skronie, podczas gdy my, prości i silni, coraz wyżej niesiemy głowy i schylać się nam trzeba, by ich ręce ucałować.

Niespostrzeżenie oni stają się starcami, niespostrzeżenie my przestaliśmy być dziećmi. Wychowani przez dom, szkołę i kościół rośniemy, z dnia na dzień przejmujemy z rąk starszych jakieś obowiązki, aż nadejdzie chwila, kiedy otrzymamy w spadku po ustępującem pokoleniu wszystkie przywileje — ale i cały ciężar obowiązku, całą swobodę postępowania — ale i całą też odpowiedzialność; każdy z nas stanie się obywatelem, jednostką składową społeczeństwa.

Nie trzeba dowodzić, że od wartości poszczególnych elementów zależy wartość ich sumy, i dlatego zrozumiałą jest troska starszych o młodzież, zrozumiałe ich usilne starania o dobre ukształcenie naszej duszy i umysłu. Tyle trudu wkłada w to państwo, tyle pracy poświęcają rodzice i nauczyciele, — i w rezultacie otrzymuje się niespodziewane wyniki.

Bo oto co słyszymy my, młodzi, tak bardzo często od poważnej części naszych wychowawców i starszego społeczeństwa?

Przedewszystkiem nagany i narzekania, że obecna młodzież jest zła, leniwa, bez charakteru, że smutne na przyszłość rokuje nadzieje i że — „dawniej lepiej było“...

Wprawdzie nie wszyscy tak nas potępiają: są wyjątki, czy to pobłażliwsze, czy to inaczej sprawę rozumiejące, które stają w naszej obronie, — ale tych jest mało.

Czyż mamy hardym śmiechem lekceważenia pominąć te gorzkie sądy starszych? — Albo też może spłonąć rumieńcem wstydu i, zwątpiwszy o sobie, wbić oczy z upokorzeniem w ziemię?

Niewolno być krańcowym. Dlatego obierzmy drogę pośrednią — popatrzmy na zarzuty i na siebie.

O ile przyjmiemy, że jesteśmy tak źli i zepsuci, jak to twierdzą, — jakie mogą być tego przyczyny? Jedna — to byłoby jakieś wrodzone zepsucie, skazy moralne, dziwna odporność na dobre wpływy i niepodatność w urabianiu,—słowem naturalne wady materjału, jakim w rękach wychowawców jesteśmy. — Czy można przypuścić, aby całe pokolenie zarażone było jakimś trądem duchowym zła już od urodzenia? — i to bez winy rodziców? Zastanowimy się nad tem za chwilę, a teraz — jaka mogłaby być druga przyczyna naszego zepsucia?

Urodziliśmy się i wychowali w epoce wojny światowej, której posiew duchowy trudno nazwać błogosławionym. Kiedy byliśmy dziećmi, t. zn. w czasie, w którym winno się na całe życie poić duszę promieniem słońca, radością, nadzieją i wiarą w ludzi, — niejeden z nas poznawał, co to smutna troska materjalna, co pieniądz, co podłość i zło. Niejeden z nas jako dzieciak zajrzał twarzą w twarz biedzie i krzywdzie, oglądał ból i zwątpienie w zalanych łzami oczach matki, w pobrużdżonej ciężkiem zmartwieniem twarzy ojca, — jeśli go nie stracił. Z dymem pogorzeli rodzinnego domu uleciały wcześnie nasze iluzje: ciężkie wysiłki rodziców, twardza pięść życia, co zawisła nad nami już w dzieciństwie, uczyły nas, że pierwszym celem człowieka — to byt materjalny.

Do pełnej świadomości umysłu doszliśmy już w wolnej Polsce, w polskiej szkole. I nagle otworzył się przed naszemi zdumionemi oczyma ogromnie szeroki horyzont. Dawniejsza młodzież polska wychowywała się pod jarzmem hańbiącej niewoli, w warunkach cięższych od obecnych,—ale właśnie ta hańba, jaką

ich upokarzano, pchała ich do reakcji, ta paląca krzywda Ojczyzny pobudzała najwznioślejsze idee, stawiała wielkie święte cele; od dziecka wiedzieli, dokąd mają dążyć.

A my tymczasem stoimy niepewni — pył, jaki rzuciła nam na oczy pojna i wytworzone po niej stosunki, również przeszkadza w orjentacji. Gubimy się wśród tylu dróg, jakie się nagle przed nami rozpostarły. Nas żadna paląca potrzeba nie zmusza do zaabsorbowania się jednym wielkim ideałem, co dawałoby możność skierowania wszelkich wysiłków w jedną stronę. Uwzględnić należy, że chwila obecna — to chwila przełomowa, czas zmian niezmiernie daleko idących nietylko w dziedzinie stosunków państwowych, społecznych, ale nawet etyki i estetyki. Wszędzie nowe prądy. Nie możemy się trochę zrozumieć ze starszymi. Kiedy śpiewamy o tęczowej zjawie przyszłości, piszemy wiersze, tętniące wiarą i nadzieją, — nazywamy się u nich: — „naiwni idealiści", kiedy ktoś z nas za cel postawi sobie dobrobyt i pogodne życie:—„cynik! egoista!" mówią z oburzeniem.

Lecz my już zaczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że chyba pierwszym naszym celem, to stać się człowiekiem, spełniającym, co do niego należy, stać się żołnierzem obowiązku w wielkiej armji pracy dla ojczyzny i społeczeństwa.

To rzecz wielce trudna dla Polaka. My potrafimy z najwyższem poświęceniem przelać krew na polu bitewnem, potrafimy być bohaterami, zadziwiającymi świat cały, — ale być takim szarym żołnierzem idei, pracownikiem, z mrówczą cierpliwością składającym cegłę do cegły, aż gmach ogromny wyrośnie, — to Polakowi trudno. Nie umie.

A tu nadchodzą n a s z e czasy, kiedy pełniejsze prawo do życia będzie miał ten, który solidarnie z innnymi będzie niósł na swych barkach ciężar pracy dla społeczeństwa. Nadprodukcja inteligencji utrudni nadzwyczaj warunki bytu. Szewc będzie musiał mieć maturę, nauczyciel ludowy — uniwersytet. Ogromna konkurencja pozwoli żyć tylko twórcy i zdolnemu wykonawcy. Niedołęga musi zginąć.

Nam zapału i chęci do pracy nie brak. Że pracować potrafimy, świadczą o tem najróżniejsze poczynania, dające się obserwować choćby na terenie szkoły i związanych z nią organizacyj. Nie brak wśród nas jednostek zdolnych, wyposażonych

w inicjatywę: ci dają myśl twórczą; inni, mniej zdolni, lecz pilni, mniej lub więcej dobrze wykonują. Gdyby wychowawcy wniknęli w nasze dusze, wyłowiliby z nich zalążki myśli twórczej, rozdmuchaliby i kultywowaliby dobre chęci jednostek lepszych — a może zwolna hodowany entuzjazm pracy i gorsze-by ogarnął.

Grzeszymy lekkomyślnością, brakiem wytrwałości, nasze zapały to często „słomiany ogień", — ale nie jesteśmy tak puści, tak bezmyślni, jak nas o to posądzają. Nieraz młode czoło omarszczy się w ciężkiej trosce, nieraz się głowa pochyli w poważnej zadumie nad pytaniami, wątpliwościami ważnemi.

„— Myśmy przyszłością narodu!" — Oj, jak ogromnie przykro patrzeć na niedowierzające, smutne kiwanie głowami naszych ojców!... — Ale głowy do góry! Może kiedyś zmienią oni swe przekonanie co do nas Bo już nie stoimy na rozdrożu. Bo już mamy swój dogmat.

T. B.

Kilka słów o „Weselu"

Stanisława Wyspiańskiego.

Cóż to jest „Wesele?" To arcydzieło Stanisława Wyspiańskiego, dramat narodowy, perła naszej literatury ojczystej.

„Wesele". Tak, rzeczywiste, prawdziwe wesele poety Lucjana Rydla z wiejską dziewczyną Jagną. Gody te odbywają się w domu Włodzimierza Tetmajera, osiadłego oddawna na wsi, ożenionego z chłopką i dążącego do zbratania się z ludem. Wyspiański przedstawia go jako gospodarza. Przed widownią przesuwają się ludzie wszystkich stanów. Jest na weselu dziennikarz, jest poeta, jest radczyni z Krakowa, jest ksiądz pleban i żyd karczmarz ze swą córką Rachelą, młodą, egzaltowaną i rozpoetyzowaną żydówką, jest i tłum bajecznie kolorowych wieśniaków. Słowem, wszyscy reprezentanci ówczesnego pokolenia, pokolenia ze schyłku XIX wieku...

Muzyka gra, wśród ochoczej zabawy pan brata się z chłopem, tak, że zdają się zanikać wszelkie różnice stanowe.

Ale zbratanie to pozorne.

Czują to chłopi, czują i panowie, a jednak tylko „narodowo się bałamucą”, a prawdziwego uczucia nie okazują, chociaż wierzą w potęgę ludu.

Ten stosunek pana do chłopa określa najlepiej Czepiec, kiedy wręcz powiada do dziennikarza:

Pon się boją we wsi ruchu,
Pon nas obśmiwajom wduchu,
A jak my, to my się rwiemy
Ino do jakjej bijacki,
Z takich, jak my, był Głowacki!

Zabawa wre... Wśród podochocenia przychodzi Racheli i poecie pomysł zaproszenia na wesele krzaku różanego, owiniętego w słomę. Pomysł godny poety. A jednak ten dziwny gość zjawia się niespodzianie w chacie.

I odtąd rozpoczyna się dramat, dramat każdej postaci.

Każda z nich spogląda w głąb swych uczuć, pragnień i myśli, które ukazują się jej w powłoce widm.

Po scenie myty chodzą, myt o posłannictwie poezji, myt Stańczyka, myt Wernyhory.

Odtąd upiory zagoszczą w chacie.

Dziennikarzowi ukazuje się Stańczyk i, oddając mu berło władzy nad blagą, szydzi zeń niemiłosiernie, każe mu mącić „narodową kadź”, jak to dotąd czynił, bo się nie mógł zdobyć na nic lepszego, bo był błaznem ku uciesze tłumu i blagą jedynie tłum porywał, chociaż sam sobie i swym poglądom zadawał kłam.

I poeta znajduje w rozśpiewanej chacie weselnej wytwór swych myśli. Ukazuje mu się rycerz z pól grunwaldzkich, o jakim marzył i jakiego przedstawiał w swej twórczości.

Pan młody, szczęśliwy pan młody. Ale i jego dręczą wspomnienia winy przodków — szlachty.

Na scenie ukazuje się widmo Branickiego, hetmana, który zaprzedał ojczyznę, a mimo to nie żałuje swego czynu. Bo on pan, bo go stać nawet na piekło.

Twarda dusza i nieugięta, wierząca w swą przewagę społeczno-rodową. Na takich właśnie ludzi wydał Wyspański wyrok strasznej hańby, kreując postać hetmana.

A stary dziad, trapiony gorzkiemi myślami na widok bratania się chłopów ze szlachtą, trapiony wyrzutami sumienia za dawne winy, za krew przelaną w roku 1846, znajduje odzwierciedlenie swych wspomnień w upiorze Szeli. W starczym umyśle nie może się pomieścić, że potomkowie tych panów, którzy ginęli ongiś pod razami rozjuszonego chłopstwa, dziś pierwsi dłoń do zgody podają..

Do rozśpiewanej, dyszącej atmosferą polskości chaty, jeszcze jeden wchodzi gość. To Wernyhora. Ten słynny Wernyhora, który przepowiedział zmartwychwstanie Polski. Zjawia się on gospodarzowi, człowiekowi dążącemu do zbratania się z ludem i do czynu przez lud. Daje mu lirnik złoty róg, jako symbol władzy nad duszami, róg, na którego zew ma stanąć cały naród w obronie swych praw, stanąć do czynu. A ta chwila tak bliska. Jeno rozesłać, zadąć w róg, a przybędzie Wernyhora z Archaniołem i poprowadzi w Bój!

Ale cóż się dzieje?

Oto gospodarz, niepomny na rozkaz Wernyhory, nie wykonywa zlecenia sam, lecz oddaje róg Jaśkowi—chłopu, a ten, schylając się po czapkę z pawiemi piórami, gubi znak, gubi złoty róg, a bez niego ma przepaść wszystko.

Tragedja jednostek przemienia się w tragedję powszechną.

Straszne, upiorne Wesele!

I choć o świcie gromadzą się w chałupie chłopi z kosami, chociaż wszyscy w ekstatycznem uniesieniu wyczekują dźwięku rogu i przybycia Wernyhory, stary lirnik nie przyjeżdza, bo Jasiek gubi róg, bo chłop nie dojrzał do piastowania władzy i nie rozumiał, że ten, komu powierzono taki skarb, nie powinien myśleć o czapce z pawiemi piórami. Niema Wernyhory! Ale zato panem wszystkich staje się Chochół, ów ożywiony na chwilę krzak róży, wywołany żartem przez gości, niezdolny do wykonywania samoistnych czynów. Dopomógł on zebranym do uzewnętrznie- swych myśli i tęsknot, ukazał:

Co się komu w duszy gra,
Co kto w swoich widzi snach,

a teraz zdziera ułudę, rozkazuje Jaśkowi zebrać broń, rzucić ją w kąt, sam zaś umieszcza się na skrzyni, a ująwszy w niezgrabne racie dwa patyki, zaczyna grać i przyśpiewywać:

Miałeś chamie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór,
Czapkę wicher niesie,
Ròg hula po lesie,
Ostał ci się ino sznur.

A że muzyka to na nutę narodową, tłum w półsennnym zachwycie staje do tańca. I w zalanej niebieską poświatą izbie porusza się sztywno, wolno. Wreszcie zasypia w poczuciu własnej niemocy. Jeden Jasiek nie śpi, szaleje z rozpaczy, słania się ze zgrozy, ale obudzić nikogo nie może. Martwo, wolno, a zwartem koliskiem porusza się w takt muzyki Chochoła bezsilny tłum.

Tragiczne Wesele!

Upoili się marzeniami, bólami, tęsknotami, ale nie byli zdolni do czynu. Szlachcic zdał wszystko na chłopa, ten nie zrozumiał, jaka na nim ciąży odpowiedzialność, i wszystko poszło na marne. a triumfuje tylko słomiane straszydło, smutne przeznaczenie narodu, wygrywające tęskne piosenki tłumowi, który, zasłuchany w nie, nie dąży do czynu, ale odprawia straszne, grobowe weselisko.

Cierpki, bolesny, rozpaczliwy sąd Wyspiańskiego o współczesnem mu społeczeństwie polskiem. *H. G.*

PSOTA.

Mróz, malarz sędziwy,
gwiaździste mi w oknie wyrysował kwiaty,
posplatał srebrne liście, gwiazdy, dziwy,
bajki, fantazje w deseń przebogaty.

W marcowe południe promyk-figlarz złoty
całuje me szybki, ozdobione cudnie.
Stopniał srebrny ogród wśród ciepłej pieszczoty
w marcowe południe...

NIE TEN POETĄ...

Nie ten poetą, kto misternie splata
w rymów koronkę i rytmu sznureczek
garść brylantowo lśniących się słóweczek,

lecz ten poetą, przed kim Bóg odsłoni
poezję kwiatem okrytej jabłoni,
komu da serce, bijące dla świata. *B.*

Serce maszyny.

Był cichy poranek zimowy...

W górze ponad miastem rozgrywała się walka dwóch tytanów: ciemności i światła. Ścierały się ze sobą hufce odziane w srebrzyste zbroje z ponurymi, ubranymi na czarno rycerzami nocy. Nie wiadomo, kto zwycięży. Aż tu na pomoc srebrzystym rycerzom pędzi oddział, który wychylił się z za horyzontu i jednym uderzeniem złotych i świetlistych kopij rozbija w puch czarnych rycerzy...

Miasto zaczynało zrzucać z siebie ciemną i ponurą opończę nocy. Resztki pobitych cieniów bojaźliwie tuliły się w zaułkach i załomach murów, które niechętnie udzielały im gościny. Wypierane zewsząd kryły się do piwnic, lub szukały ucieczki na strychach, aby na zawołanie swej królowej — nocy, wypełznąć z kryjówek i oplątać świat czarnemi uściskami.

Tymczasem słonko przetarło zaspane oko, ożywiło kryształki śniegu, które poczęły drgać i mienić się tysiącami świateł, a przedewszystkiem wysłało swe promyki na poddasze domku, położonego w dzielnicy fabrycznej.

Dzielne promyki przebiły się po przez zwarte tłumy dymów, kłębiących się z czeluści kominów, i oświetliły wnętrze schludnej izdebki. Z pieszczotą zajrzały w oczy młodzieńca, który uśmiechnął się przez sen, a po chwili spojrzał w okno. Zaśmiały się ciemne jego oczy do tych zalotnych promyków, które tak natarczywie go pieściły. W ich towarzystwie ubierał się, spożywał posiłek, przygotowany przez matkę, która w czystej odzieży raźno krzątała się koło kuchenki.

Z oddali buczki fabryczne grały larum.

Spokojne domki robotnicze ożywiły się i liczne czarne postaci poczęły się wysypywać, aby stanąć do apelu.

Nasz chłopiec pożegnał matkę i szybko zbiegł ze schodów. Smutno się zrobiło w mieszkanku na poddaszu.

Twarz matki trochę posmutniała i, zapatrzona w dal, słuchała ginących odgłosów po swym jedynaku.

Słonko pobłąkało się po izdebce, a nie znalazłszy kochanka podążyło za nim, aby ciepłem swej miłości ogrzać go i zastąpić mu wyszarzaną świtkę.

A on, kiedy popatrzył na ciemny i zabrudzony dywan śniegu, wybiegł myślą poza miasto. Ujrzał oczyma duszy nieskalaną biel kobierca śnieżnego, przetkanego rubinami. Zobaczył hen, daleko, wierzbę, utuloną we śnie zimowym, schyloną nad strumykiem, który, ok ełznany silną ręką mrozu, przestał huczeć i szumieć....

Nagle myśli uleciały. Stanęło przed nim cielsko fabryki i pochłonęło do swego wnętrza postać chłopca.

Przed oczyma zjawiła się rzeczywistość w osobie jego ukochanej maszyny.

Czekała, aż ręka chłopca udzieli jej życia, aby mogła pracować dla ludzi. Młodzieniec puścił w ruch motor. Pod wpływem udzielonej energji ciało maszyny drgnęło. Pobudzone do biegu kółka i tryby nieśmiałym krokiem zaczęły swą wędrówkę, lecz za chwilę ośmieliły się i biegły po swych torach z zawrotną szybkością. Obok tych kółek toczyły się majestatycznie większe, obarczone pasami, które roznosiły energię do innych maszyn...

Patrzył na nią z uśmiechem i radością. To była jego chluba.

A ona, patrząc błyskami swych stalowych ócz w ciemne głębie wzroku chłopca, prostowała się i dumnie popędzała swe służebne kółka. Tak się z sobą zżyli. Wdzięczna mu była za to, że ożywiał ją co dnia i krzepił jej siły oliwą.

I teraz, nie chcąc, aby odczuwała pragnienie, zanurzył rękę z oliwiarką między tryby.

Wtem jeden z nich pochwycił dłoń chłopca (może chciał złożyć pocałunek wdzięczności).

Młodzieniec zbladł, syknął z bólu, błyszczące oczy zgasły...

Lecz o dziwo! Maszyna spojrzała groźnie na tryby i koła. Te pod wpływewm jej stalowego wzroku stanęły jak skamieniałe.

Nieszczęśliwy wyjął okrwawioną rękę i spojrzał z wzdzięcznością na maszynę. Nie chciała jego życia, bo był jej drogim.

— — — — — — — — — — — — — — —

W izdebce na poddaszu cicho. Na kominie płonie wesoło ogień i igra odbłyskami po ścianach. W ciszy, przerywanej trzaskaniem drzewek, ozwał się głos — Podziękuj, mamo, maszynie za serce...

Ala.

Za kulisami.

Ogromnie lubię oglądać obie strony medalu. Jedna mi nie wystarcza. Taki już jestem.

Obejrzawszy tedy „Wesele”, że tak się wyrażę, od przodu t. zn. z widowni, udałem się za kulisy.

O Allahu i jego jedyny proroku Mahomecie! Co tam się działo!

Dziad podskakuje i śpiewa nowoczesną piosenkę dziadowską: „Kupujcie bubliczki!” Radość jest rozlana na jego pełnych licach, niby rumieńce wschodzącego słońca na niebie. O! — myślę — czasy nastały! Dwudziesty wiek! Wiek radja, telefonów i rozkosznej doli dziadowskiej! Rozmyślania „dziadowskie” przerwał mi „Pan Młody”. Szedł, jak trąba — oczywiście powietrzna, a zapał wojenny miał w oczach. Pragnął krwi.

Wtedy to uczułem moją nicość. Czemże byłem wobec jego potęgi?! O me miserum!

Co to będzie? Co to będzie?

Dusza moja umieściła się gdzieś w okolicy pięt. Drżąc, salwowałem się za pęk starych dekoracji. I czekam. A on idzie.

O biada wam, druhny, druhowie, dziennikarze, chochoły, widma i inne upiory. Biada wam po trzykroć. Jeśli Bóg was nie uratuje — wszyscy zginiecie.

Płeć mocna, owładnięta panicznym strachem, pierzchła.

Co teraz uczyni?

Czy budynek zdemoluje? Lecz nie! On odwrócił swe kroki.

Tam oto w kąciku stoją wtulone nadobne druhny „weselne”. Strach przemożny obezwładnił im nożyny — nie mogły uniknąć furji. Biedactwa moje nieszczęsne! Co on z wami uczyni?

A one stały niby stadko zziębniętych kuropatw.

Ogarnęło mię przerażenie, graniczące z obłędem. Ach! Nie patrzeć! Nie patrzeć! W oczokiwaniu czegoś okropnego zamknąłem oczy.

Czekam!

Mija jedna chwila.. druga... trzecia... A tu nic. Teatr się nie wali, nie słychać jęku mordowanych. Otworzyłem w ciekawości niezmiernej najprzód jedno oko, a potem drugie...

I co się dzieje?...

Oto „Pan Młody” wynalazł widocznie inny sposób walki. Stoi, niby kat, nad biednemi dziewczętami. . i co on czyni?

Robi w chłopskim polskim stroju — perskie oko.

A one bezwolne, strachem sparaliżowane, poddają się tej męczarni.

Z oczu dzikiego wojownika znika zapał wojenny, a powstaje uśmiech, niby tęcza po deszczu.

A tymczasem twierdza babińska, dowiedziawszy się, że „Litwa wraca”, rozpoczęła obronę.

Gdy więc wrócili druhowie, jakkolwiek zawstydzeni, jednak mężnie się potykając, rozstrzygnęli walkę.

Obie powaśnione strony pogodził mazur, grany przez znanego w kołach towarzyskich Szmula — Muzykanta.

I poszedł mazur (z tłumikami), że Boże ty mój! Ksiądz dobrodziej, podkasawszy sutannę, wraz z dziadygą wybijał hołubce.

A ja stałem na stronie i patrzałem.

I dopiero wtedy pojąłem, że taka to jest radosna zabawa.

Bawcie się młodzi, bo „przyjdzie czas, który was ochłodzi” — a okres się kończy.

Janusz.

Najmłodsza Polska.

Mój park

Zadumane, zapatrzone stoją rzędy drzew...
wody stawu błękitnawe, szeroko rozlane,
wiatr w konarach śpiewa dziką, smutną swoją pieśń,
stoją drzewa cichе, smutne, senne, zadumane...

W górze szary, ciemno-szary widać długi sznur,
leci żóraw za żórawiem pod agatem chmur,
leci żóraw za żórawiem nad agatem fal —
serce gniecie, serce ściska jakiś cichy żal.

Już zapada błękitnawy, wczesny, miły mrok...,
wtedy przez pożółkłe trawy przyspieszamy krok...
Noc już kładzie na park miękki szafirowy szal...

Błyszczą gwiazdy, księżyc wschodzi, wszystko sieje żal.
Wszystko sieje żal, zadumę, dawnych wspomnień rój,
w pozłocistej mgle wieczoru zasypia park mój.

WSPOMNIENIA.

Ten błękitniejący w dali
srebrno siny łańcuch gór,
gdzie na mchu zielonej hali
pasł się białych owiec sznur,
mój zielony, rozkwiecony
kraj kochany w wspomnień mgle,
gdzie po długim dniu słonecznym
noc aksamit czarny śle.

Dziś — jedyną mą osłodą
jest błękitny welon snu,
gdzie mnie myśli moje wiodą
po tęczowych kroplach dżdżu.

...gdzieś—las szumi, moje pole
niby staw złocisty lśni...
widzę chabry... i kąkole...
a pod oknem — kwitną bzy...
mój domeczek cegłą kryty,
osypany kwieciem sad
błyszczy w słońcu jak wymyty
w śród zielonej trawy mat.
Dalej strumyk toczy wody—
— widzę strumyk ten —
budowaliśmy nań mosty
i zbierali wodorosty —
...słodki, słodki sen!...

Dzisiaj patrzę na to z żalem
i jest mi tak źle!...
Gdy mnie wspomnień mgła otoczy
i mak sypie się na oczy
z dłoni Dobrych Snów,
zapominam o tych śniegach,
lodowatych życia brzegach,
aż się zbudzę znów.

IMIENINY.

Tam, gdzie kraśniały maków purpurowe usta,
Rozłożyła się wielka kulista kapusta.
Dalej scieżki sadzonej chmielem bujnym wrota,
Nad niemi słoneczników drżą kwiaty ze złota.
Gdzie nie widać, że łopuch swoje wsadził szczypce,
Polny konik zaniósł swe maleńkie skrzypce
I wygrywa swej żonie na jej imieniny...
Słuchają zioła, osty i byliny.
„Niech żyje nasz kraj kochany
Jakie piękne są Bielany! Bum! Bęc!
Przeleciała muszka mała i cała się zasłuchała:
„Posłuchajcie mnie bylice, jakie piękne Sukiennice!
Aż frunęły doń dwa chrząszcze, eleganckie dwa chrabąszcze:
„Niech posłucha groch wąsaty, jakie piękne są Karpaty! La! La!
Aż pszczółka, co miód zbierała, w zdziwieniu się zatrzymała:
„Posłuchajcie—że rosochy, że od Polski brzydsze Włochy! Hej! Hej!
Zakrzyczały kalafiory, drżą selery — drą się pory...
„Niech — że już ucichną śmiechy — toż od Polski brzydsze Czechy! Hej!
Właśnie słońce zachodziło, on wygrywał, że aż miło Bum! Bęc!

W. G.

Procent stopni niedostatecznych w poszczególnych przedmiotach

w I-ym półroczu roku szkolnego 1928/29.

KLASA	Religja	Polski	Łacina	Franuski	Niemiecki	Historja	Geografja	Matematyka	Fizyka	Przyroda
	%	%	%	%	%	%	%	%	%	%
I	0	7				6,8	3,4	20,7		0
II	0	29,4		23,8	0	5,9	3	29,4		0
III	0	13,1		11,1	17,9	4,3	2,2	43,5	19,6	
IV	0	27,7	31,9	7,1	28,1	6,4	6,4	38,3		14,9
V	0	21,3	24,3	10	17,4	21,1	6,1	45,4		24,2
VI	0	15,6	34,4	6	25	12,5		34,4	18,7	
VII	0	4,6	18,2	0	27	0		40,9	9,1	
VIII	0	3,5	27,6	0	6,7			27,6	6,9	

WESELE.

Dorocznym zwyczajem szkoła nasza urządziła imprezę teatralną.

Tym razem wybór padł na „Wesele“ Stanisława Wyspiańskiego.

Inicjatorami tego projektu byli: Pp. J Markowska, J. Towtkiewiczówna i p.p. A. Dańczak i Fr. Urbański.

Oni też zajęli się jego uskuteczniemiem. Role żeńskie obsadziły uczenice gimn. żeńskiego im. Marji Konopnickiej.

Do występu przygotowywano się bardzo starannie. Opinja była naogół pobłażliwie nastrojona, bo sztuka była niezwykle trudna, a wykonawcami jej byli uczniowie i uczenice. Lecz przedstawienie rozczarowało publiczność, rozczarowało w kierunku dodatnim. Młodzi artyści grali nadspodziewanie dobrze, byli bowiem owiani duchem „Wesela“. Przedstawienie odbyło się dwa razy — w sobotę dnia 2.III. i niedzielę 3.III. 1929 r. i dało inicjatorom całkowite zadowolenie moralne i finansowe.

W przerwach przygrywała (z powodzeniem) orkiestra szkolna pod batutą p. kapelmistrza Piątka.

Prawo przyrody.

Wieczór zapadł. Na tle nieba, lekko zarumienionem złotoczerwonawemi promieniami zachodzącego słońca, wyraźnie i poważnie rysowała się czarna sylwetka prastarego boru.

Ptaszęta, całodziennym ruchem zmęczone, milkły stopniowo, a słońce, ostatni raz obrzuciwszy ziemię promieniami, zgasło. Mrok zapadał, okejmował ziemię, las, wciskał się w najmniejszy zakątek, obejmując wszechświat w posiadanie imieniem nadchodzącej nocy. Na pobliskich łąkach zarechotały żaby, gdzieniegdzie odezwał się bekas, w oddali zagrały żórawie, jednak i te głosy zmilkły stopniowo i świat ogarnął niezmącony spokój. Cisza objęła przyrodę a wraz z nią powoli zapadała noc. W ciemnościach boru, nie rozjaśnionych jeszcze promieniami księżyca, często dzieją się dziwy, tylko że bór, prawa przyrody przestrzegając, tajemnicy nie wydaje. Tak było i teraz. Cicho, bezszelestnie sunął wielki cień pomiędzy drzewami, nagle opadł na gałąź szary, niewidoczny, jedynie błyszczącemi oczyma wskazując miejsce swego pobytu. Wschodzący i księżyc obrzucił bór blado, srebrzystymi promieniami, nadając mu fantastyczne kształty.

Przytulony do pnia drzewnego puhacz słuchał czujnie. W oddali zaszeleściły suche liście, czyjąś stopą poruszone, szelest zbliżał się. Z pod krzaka wyskoczył mały zajączek. Stanął słupka, cisza, rozejrzał się, niema nic, teraz już śmiało, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, zaczął skubać trawkę. Od pnia pobliskiego drzewa oderwał się cień i jak piorun spadł na ofiarę, krótka walka, nierówne siły, krzyk bolesny, śmiertelny rozdzieranego jestestwa i cisza. Prawo silniejszego i tym razem zwyciężyło, a ciepłe ciało swej ofiary rozrywał puhacz pazurami Nasyciwszy się do syta, pozostawił resztki na ziemi i powrócił na swe poprzednie miejsce, przeciągnął się, trzepnął skrzydłami i, podniósłszy dumnie głowę, zahuczał ponuro. W dali drugi mu odpowiedział, wabił, nawoływał. Puhacz słuchał chwilę, jakby się wahał lub ociągał, poczem zsunął się z gałęzi i bezszelestnie zniknął w cieniu drzew. Tak to się dzieje w wszechświecie, że zawsze słabszy silniejszemu ulega, a dzieje się to według odwiecznego prawa przyrody. *F. L.*

Wspomnienia karnawałowe.

Motto: Jak szybko mija czas

Wesoły to był w tym roku karnawał. W zawrotnem mazurowem tempie płynęły dni za dniami, a sztubacka brać ani myslała o owym „sądzie ostatecznym", który ją zwykle trapi i gnębi, który baltazarowemi głoskami wypisuje na półrocznych cenzurkach ową groźną zapowiedź potępienia.

Bez wrażenia minął 2 luty. Każdy sobie powiedział jak — Czepiec w „Weselu": „Wszytko minie, wylicy się"... Ale niestety, wszystko naprawdę minęło jeno zostały owe fatalne „nd" i „inne stateczne". (Obrzydliwe wyrazy, stanowczo powinny być wykreślone ze słownika literackiego). A czy się z nich wylicy?

Brr... Sam nie wiem czemu, „zaśpiewałem kruczy ton". Co tam. Albośmy to jacy tacy! Lepiej wspominać o rzeczach wesołych, a wszystko co smutne, zagrzebać pod dwumetrową powłoką owej grubej żałoby, co się zwie nieodwołalną koniecznością

Otóż wracam do karnawału. Nadzwyczajny ten 1929 rok. Wyobraźcie sobie, że dyrekcja naszego gimnazjum, rozchmurzyła

od dwu lat groźnie osłonięte oblicze i pozwoliła nam się bawić. Co za dziwo? A przypisać to chyba należy jakiemuś magicznemu wpływowi naszych milutkich koleżaneczek z „Długiej", one bowiem dały początek całej serji zabaw. Stawiliśmy się licznie, jak przystało na szanujących się tancerzy. Sala, jasno oświetlona, tem jaśniejsza być się zdawa a, bo opromieniły ją rozochocone twarzyczki Janek, Jadź, Wand i Zoś. Biedni byli tego wieczora grajkowie, nieszczęsna posadzka, a i bufet ucierpiał nie mało. Skąd im się tyle wzięło animuszu? Tańczyli i jedli, jedli i tańczyli, aż do wyczerpania zapasów pączkowych.

Gdzie się w tym karnawale nie tańczyło..

I szóste klasy, i siódme, i nasi koledzy, ci, co ich „chałubińszczakami" zowią, słowem cały uczniowski światek, zawirował w przystępie bałwochwalczej czci ku Terpsychorze. A i nasza staruszka „Filarecja" obudziła się ze snu, wyjrzała na świat, uśmiechnęła się przyjaźnie do młodzieży i postanowiła godnie uczcić tegoroczny karnawał. Ochoczo spełniliśmy jej wolę i chociaż przyszło nam walczyć z olbrzymiemi trudnościami, chociaż kroplisty pot spływał z czoła naszego kuratora, który z istnem samozaparciem się opracował i urzeczywistnił najdrobniejsze szczegóły, dotyczące naszego „balu", (nawet własnoręcznie kręcił lody) to jednak dzięki ofiarnej pracy chłopców i wydatnej pomocy koleżanek, w sobotę 9 lutego,drugie piętro naszego gimnazjum przyodziało się w odświętną szatę.

W potokach światła, w melodji wiedeńskiego walczyka, zawirowały pary. Jak w bajce...

Posuwisty mazur, ochoczy oborek, melancholijne tango, hałaśliwa poleczka, kolejno zmieniały nastrój rozbawionej młodzieży.

Aż wreszcie błękitny walczyk położył kres zabawie...

Nazajutrz rano byłem na pobojowisku. Wszędzie cisza. Nie chciało mi się wierzyć, że tak szybko uleciały z tych ustrojonych sal gwary i szumy taneczne.

A jednak tak szybko mija czas i pozostawia po sobie tylko wspomnienia.

Jakże szybko upływają chwile wesela i radości!

„Jasiek."

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch** — Radom, pl 3 Maja 1.

— Odbito czcionkami Zakładów Drukarskich Sejmiku Radomskiego i S-ki —